

Mój przyczynek do sporu: Henryk Kroll – Janusz Brzoza

Rok 1947

Wakacje spędzałem na obozie harcerskim w rejonie wsi Biała Woda, k.Idzikowa, Ziemia Kłodzka. Wieś: piękne, zadbane budynki gospodarskie, niektóre w stylu przypominającym tyrolski, dwa duże, brzydkie obiekty wczasowe z czerwonej cegły. Nie było śladu zniszczeń wojennych. Uprawne pola na zboczach Czarnej Góry, wszystkie gospodarstwa zasiedlone przez Polaków „zza Buga”. Podobnie było w okolicznych wsiach i miasteczkach (w Idzikowie, Międzygórzu, Bystrzycy i innych). Na zboczu Czarnej Góry stała luksusowa, niezamieszka willa otoczona pięknym parkanem, w willi – piękne białe meble (rok już 1947 !) w ogrodzie – skałki z roślinnością skalną, m. in. z szarotkami. O wysiedleniu Niemców już zapomniano. Nawet „Wehrwolf” nie miał tam zaplecza. To była już Polska, choć wyglądająca trochę z niemiecka.

Rok 1957

Jako student germanistyki dorabiałem pracując przy tzw. unacześnianiu map m.in. w tym samym rejonie, w którym w latach chłopięcych byłem na obozie harcerskim – w Ziemi Kłodzkiej. Cieszyłem się bardzo, że zobaczę tak dobrze mi znaną Białą Wodę i jej okolice. Tym większe było moje rozczarowanie, gdy tej wsi nie mogłem odnaleźć !. Po prostu jej już nie było ! Zniszczone budynki gospodarskie, po willi – ani śladu, jeden z obiektów wczasowych już nie istniał – drugi w trakcie rozbiórki, pola zapuszczone, pokryte odchodami owiec. Na skraju wsi - dwa niezniszczone budynki gospodarskie. W jednym z nich znalazłem grupę mężczyzn – jak się okazało pasterzy. W kuchni, w której stał piec kuchenny, na klepisku pod zerwaną podłogą paliło się ognisko, a nad nim na trójnogu wisiał garnek, w którym coś się gotowało. Pasterze ci, którzy robili na mnie wrażenie ludzi nie z naszych czasów, opowiedzieli mi, że przed kilkoma laty teren wsi wcielono do PGRu, ludność, już polską (!) wysiedlono w inne strony, bo przecież pustych wsi było jeszcze wiele, zaś rejon wsi zamieniono na PGR-owskie pastwiska dla owiec. Większość gospodarstw w Białej Wodzie rozebrano i nadal rozbierano. Zostało kilka budynków dla pasterzy i chyba leśnictwo. (Gdy byłem tam po raz trzeci w roku 1982 po wsi nie został nawet ślad ! Ostała się tylko leśniczówka.)

Tego samego dnia w 1957 r. trafiłem do następnej doliny i znajdującej się w niej znacznie większej wsi, Marcinkowa. Wieś była zupełnie pusta, jakkolwiek budynki nie były zniszczone. Z komina jednego z budynków uchodził dym. Tam także mieszkali pasterze, gdyż wieś ta podzieliła powojenny los Białej Wody. Ze względu na moją pracę zależało mi na kontakcie z kimś, kto dobrze znał okolicę. Pasterze zarekomendowali mi Niemca, mieszkającego w dole wsi, w „białym gospodarstwie”. Skąd tu Niemiec, pomyślałem, udałem się jednak we wskazanym mi kierunku i już z daleka widać było pięknie zadbane gospodarstwo nad brzegiem potoku z budynkiem mieszkalnym, którego biel rzucała się w oczy. Gospodarz akurat coś robił na podwórzu. Przywitałem go więc po niemiecku, na co gospodarz odpowiedział powitaniem po polsku i zapytał, czy nie znam polskiego? Byłem zaskoczony. Tłumaczyłem się, że rekomendowano mi go jako lokalnego Niemca....Hm, no tak, odpowiedział, teraz faktycznie jestem już Niemcem. Opowiedział mi też swoją historię:

Rodzice jego byli Polakami mieszkającymi w niemieckiej części Górnego Śląska. W latach dwudziestych kupili gospodarstwo w Marcinkowie i tu żyli. Mój rozmówca podkreślał, że w jego domu wszyscy czuli się Polakami i podtrzymywali polskość, dlatego też, gdy w 1945 roku zbliżał się front, cieszyli się, że nadchodzi „nasi”. W 1946 r. nastąpiła akcja wysiedlania Niemców. Mój rozmówca starał się uniknąć wywiezienia do Niemiec, bo przecież czuł się Polakiem. Jeździł do Bystrzycy, a nawet do Kłodzka i rodzinie jego, jako jedynej w całej wsi

udało się uniknąć wywiezienia. Po tym jednak co przeżył i widział w ciągu kilku lat „gospodarowania” swoich rodaków doszedł do wniosku, że już lepiej być Niemcem i żyć w normalnym społeczeństwie. W czasie, gdy się z nim zetknąłem dysponował już odpowiednimi dokumentami i czekał na termin wyjazdu, ja zaś dostałem od niego kilka niemieckich książek, które tak czy tak by zostawił.

Lata 1953 – 58. Studiowałem germanistykę w Poznaniu. Rozpoczynając studia miałem 17 lat. Moi komilitoni to byli Polacy, autentyczni Niemcy (jednostki), wzgl. Polacy o niezbyt ugruntowanej świadomości narodowej. Przykładem może być mój kolega z Raciborskiego, Ferdynand Cz. i jego brat (student wyższego roku). Brat kolegi w czasie studiów został aresztowany i skazany za podziemną działalność w niemieckiej, antypolskiej organizacji. Kolega natomiast opowiadał mi o tradycjach ich rodziny: o babci i o rodzicach, dla których przed II. Wojną Światową Polska była czymś świętym. Do Polski udawano się z pielgrzymkami na Jasną Górę, w domu mówiono tylko po polsku ! A jego brat siedział w więzieniu za działalność antypolską....

Rok 1955

Kilka dni spędziłem w Raciborzu u kolegi, którego żona pochodziła z polskiej rodziny inteligenckiej o patriotycznych tradycjach. Na marginesie: nie zapomnę niedzielnego obiadu u teściów kolegi (teść był znanym adwokatem): gdy służąca podała do stołu, wszyscy stanęli wokół stołu, a gospodarz stojący w jego szczycie przeżegnał się głośno: W imię ojca i Syna....i odmówił modlitwę, którą pozostali wypowiadali wraz z nim.

Ojciec pana adwokata był z początku wieku znanym architektem w Raciborzu i działaczem polonijnym. Dzięki pracy zawodowej zdobył znaczny majątek i po pewnym czasie stał się właścicielem kilku domów. W czasie Powstań Śląskich wspierał powstańców finansowo, za co potem Niemcy „odwdzięczyli mu się” szykanami i odebraniem mu majątku. Udało mu się jednak wykształcić syna i uposażyć (chyba 3) córki.

Po II. Wojnie Światowej pan architekt, jako najgodniejszy Polak w Raciborzu, mianowany został pierwszym polskim burmistrzem Raciborza. Nie na długo jednak. Dla Polaków napływających ze wschodu, burmistrz – autochton był Niemcem ! Został więc szybko zastąpiony „prawdziwym Polakiem”.

Po doświadczeniach z „prawdziwymi Polakami” w rodzinie doszło do rozłamu. Część, w tym architekt, jego syn adwokat i jedna z córek pozostali wierni swojej przynależności narodowej, dwie córki zaś, podobnie jak wielu innych Raciborzan, którzy w czasie wojny i po wojnie czuli się Polakami, poczuły się Niemkami i podobno demonstracyjnie rozmawiały na ulicy po niemiecku wzgl. dzięki znajomości niemieckiego były w stanie kupić w sklepach deficytowe towary sprzedawane przez takie „Niemki” (!), jak i one.

W tym samym czasie, w drodze pociągiem z Kietrza do Raciborza jechałem w przedziale z dziewczętami, jak się później okazało, pracownicami fabryki dywanów, które mówiły jakimś dla mnie dziwnym językiem: mieszaniną polskiego i niemieckiego. Nie omieszkałem zapytać je w jakim języku mówią. Odpowiedziały, że to język „śląski”. Dla Polaka był to język bardziej niemiecki niż polski. Dla Niemca byłby to niewątpliwie język bardziej polski niż niemiecki.

Bardzo charakterystyczny był los naszych znajomych - młodego małżeństwa z Raciborza, których poznaliśmy w 1965 r na wczasach w Łądku Zdroju. On z Zabrze, gdzie jego wielodzietni rodzice, jednoznacznie Niemcy, mieszkali w typowym robotniczym domku szeregowym. W 1965 r. cała rodzina przebywała już w „F-ie” .W Polsce został tylko nasz znajomy z żoną – zdeklarowaną Polką, a więc małżeństwo mieszane, ale tak spolonizowane, że tylko jego nazwisko wskazywało na niemieckie pochodzenie (a mało to Polaków nosi wyraźnie niemieckie nazwiska ?). Rok później spotkaliśmy go w W-wie, gdzie wówczas mieszkałem. Z wyraźnym zażenowaniem wyjaśniał nam, że właśnie załatwia dokumenty wyjazdowe do Niemiec, gdzie członkowie jego rodziny już się „urządzili” i pomogą także urządzić się jemu i jego żonie. Ciekaw jestem, jak też im się wiedzie ?

W latach po1956 roku podobną decyzję wyjazdu do Niemiec podjęło tysiące Ślązaków (a także Mazurów). Wielu autentycznych Niemców, wielu jednak z tradycji rodzinnej Polaków, pełnych nadziei związanych z przyłączenia Śląska /Mazur do Polski, tak bardzo jednak przyzwyczajonych do niemieckiego stylu życia, że przejawy „polskiej gospodarki”, z jakimi często stykali się po ostatniej wojnie i niechęci do nich ze strony Polaków napływających ze wschodu były dla nich nie do przyjęcia. Wielu jednak zostało i tak jak ich przodkowie byli na Górnym Śląsku przyczółkiem polskości, tak ich rozczarowani Polską potomkowie stali się przyczółkiem niemczyzny, na którym bazuje m.in. p. Kroll (zresztą „Król” !). I nie można im się dziwić ! Można natomiast podziwiać za ich gospodarność rzucającą się w oczy, gdy przejeżdża się przez wsie Opolszczyzny !

I jeszcze jedno spostrzeżenie:

W latach 1982-86 mieszkałem w Katowicach w „familoku” i moimi sąsiadami byli starsi ludzie o pozornie bardzo polskim nazwisku z końcówką –ski. Oboje byli już emerytami. W czasie „stanu wojennego”, gdy o wyjeździe za granicę można było sobie tylko pomarzyć, państwo „...-ski” rokrocznie wyjeżdżali wiosną na kilkutygodniowe wczasy do „F-u” skąd przesyłali członkom swojej rodziny w Katowicach tzw. „grospakety”. Okazało się, że pan „...-ski”, obywatel polski, w czasie wojny, podobnie jak wielu Ślązaków, zmuszony był służyć w Wehrmachcie. Niemcy mu tego nie zapomnieli i przez wiele lat odwdzięczyły się jemu i jego żonie bezpłatnym pobytom w okresach sezonowych w sanatoriach niemieckich, gdzie dostawał także diety na drobne wydatki, a raz na dwa lata znacznieszą zapomogę.

Weterani polskich jednostek powstałych na Zachodzie, Armii Andersa, Armii Berlinga, AK i innych organizacji podziemnych, a jak Wam odwdzięczyła się i odwdzięcza się Ojczyzna za walkę o nią ?

Rok 2009 – luty

Otrzymany pocztą elektroniczną list z załącznikami potraktowałem jako spam (śmieć) jednak, widać intuicyjnie, przed opróżnieniem skrzynki pocztowej zaintrygował mnie jego temat: „Polska-Niemcy...” i z pewną obawą mimo to (wiadomo wirusy, szpiegdy itp. instalujące się w komputerze z załączników email) otworzyłem wiadomość, która poruszyła mnie do głębi przywołując zdarzenia sprzed ponad 52 lat i pokazując jednocześnie, jak potężnym źródłem informacji jest internet! Oto ona:

Szanowny Panie,

Przeczytałem Pański artykuł "Niemcy-Polska - Mój przyczynek do sporu: Henryk Kroll – Janusz Brzoza". Trafiłem na niego poszukując informacji o kłodzkiej wsi Martinsberg/Marcinków. Ta miejscowość w sposób szczególny wpleciona jest w losy mojej rodziny. Od wczesnego dzieciństwa (urodziłem się w 1958r) słuchałem opowieści o niej jako o "raju utraconym".

W Pańskim artykule zaintrygował mnie fragment mówiący prawdopodobnie o... wujku mojej Mamy. Czy przypomina sobie Pan może nazwisko swojego rozmówcy z "białego gospodarstwa"?

Jeśli myślimy o tej samej osobie, to jest nią August Bednarski - brat mojej babci Klary Koniecko (z domu Bednarski). Jego rodzice a moi pradziadkowie Walenty i Wiktoria Bednarski przeprowadzili się do Marcinkowa gdzieś w latach 20. Walenty Bednarski - to pochodzący z Mikołowa kupiec, człowiek wykształcony i nowoczesny. Założyciel / fundator straży pożarnej w Chorzowie (obecnie Stary Chorzów), właściciel pierwszego oświetlonego elektrycznie sklepu oraz kilku kamienic.

Jak wspominała moja ciocia - przez Polaków uważany za Niemca, przez Niemców - za Polaka (czyli prawdziwy Ślązak!).

Nie godził się z "powstaniami" i przyznaniem w 1922r Polsce wschodniej części Górnego Śląska. Sprzedał więc jedną ze swych kamienic i "uciekając" z pieniędzmi w obliczu kryzysu światowego nabył od pośrednika gospodarstwo w Marcinkowie. Przyzwyczajony do miejskiego życia nie czuł się tam dobrze. Znakomicie natomiast zasymilowała się moja prababcia Wiktoria. Zdobyła uznanie miejscowych gospodarzy dzięki swej wiedzy agrarnej (pochodziła z "ziemiaństwa").

Ich syn - August Bednarski (młynarz-mechanik Kriegsmarine w czasie I wojny) przejął "z konieczności" gospodarstwo po śmierci swojego ojca w roku 1932. Ożenił się w pochodzącą z Marcinkowa Hedwig geb. Finger. Ciotka Hedwig przedstawiana jest bardzo ciepło w rodzinnych opowieściach. Przed wojną, w czasie wojny oraz po jej zakończeniu moja mama (rocznik 21) z rodzeństwem spędzała tam każde wakacje.

Bednarscy nie mieli dzieci tym bardziej cieszyli się że w ich ogromnym domu jest gwarno i wesoło.

O przyczynach pozostania wujka Augusta w powojennym Marcinkowie przekazy rodzinne mówią zupełnie co innego niż odpowiedni fragment Pańskiego artykułu. Zdecydowały względy osobiste a nie "narodowe". Jego słowa o pielęgnowanych w rodzinie "polskich" tradycjach mogę wytłumaczyć tylko strachem w obliczu "polskiej większości". Po prostu, chcąc tam pozostać - musiał tak mówić.

Jego żona Hedwig - nie znała polskiego (a nawet "górnosląskiego"). Posługiwała się miejscowym dialektem (który zresztą trudno nazwać językiem niemieckim ;-). Jak wspominałem wcześniej, dobrowolne przesiedlenie Bednarskich do Marcinkowa było ucieczką z Polski która przejęła rodzinny Chorzów! Niestety, ciocia Hedwig zmarła w roku 1953 lub 56 (tu mam wątpliwości ale sprawdzę). Pańska wizyta więc, nastąpiła wkrótce po jej śmierci. August Bednarski nie wyjechał już z Marcinkowa, ożenił się natomiast po raz drugi. Niestety, silny, dominujący charakter nowej wybranki oraz (co oczywiste) preferowanie własnej rodziny sprawiło że jeździliśmy tam coraz rzadziej. Było tam dla nas coraz mniej miejsca, nie czuliśmy się tam dobrze. Różniła nas też religia - druga żona wujka nie była

związana z kościołem katolickim dominującym zarówno w mojej rodzinie jak i na tych ziemiach.

Kontakty rodzinne zaczęły stopniowo zanikać. W Marcinkowie również, wyszła za mąż (za Paula Laschke) jedna z sióstr mojej babci - mieli wielkie gospodarstwo tuż powyżej szkoły - niestety, nie udało im się pozostać pomimo prób. Ich syn (nieżyjący już Richard Laschke) odwiedzał nas w późnych latach 70-tych. W Niemczech żyje jego siostra Zuzanna. Proszę mi wybaczyć przydługi wstęp.

Kilka dni temu byłem w Marcinkowie i wróciłem wstrząśnięty obrazem jaki zastałem (przesyłam aktualne zdjęcia "białego gospodarstwa").



Zbieram informacje na temat ostatnich lat życia wujka i będę wdzięczny za wszelkie wiadomości.

Może przypomina Pan sobie jeszcze jakieś szczegóły tej rozmowy sprzed 51 lat? Jak wyglądało wtedy w Marcinkowie - wieś pewnie nosiła ślady swej świetności (w 1939r - 430 mieszkańców)?

Przepraszam, że zadreczam Pana pytaniami ale te sprawy bardzo mnie interesują. Pamięć jest krótka a ślady materialne szybko znikają. Chciałbym coś z tego ocalić i przekazać dalej.

Jeśli odblokowałem tym moim wtargnięciem miłe wspomnienia z przeszłości (a te z młodości z reguły do takich należą), to czuję się rozgrzeszony.

Ja zaś cieszę się z poznania ciekawego człowieka w Pańskiej osobie. Gdy wspomniał Pan [w swoim eseju - przyp. autora] o domku w okolicach przełęczy Puchupass / Puchaczówka - od strony Idzikowa najwyższy punkt drogi w kierunku na Stronie Śląskie - przyszedł mi od razu na myśl "Schwarze Berg Häusel". Jak się okazuje nietrafnie. Zresztą domek ten znajdował się w "Białej Wodzie" czyli nieco poniżej przełęczy pewnie gdzieś w okolicach kapliczki.

Smutek ogarnia gdy ogląda się ślady dawnej świetności tych ziem! Patrząc np. na ruiny kościoła św. Marcina z końca XVI w myślę o wznoszonych w każdej miejscowości betonowych bohomazach pozwalając jednocześnie bezkarnie niszczyć zabytkom. Rzeźby oraz elementy wykonane z kamienia ozdobiły niejednego nowobogackiego dom, to samo z wyposażeniem domów.

Proszę przeczytać poniższy fragment tekstu pochodzący z opisu pewnego muzeum:

"...Na uwagę zasługuje kufer marynarza z 1916 r. Był to osobisty kufer marynarza - Polaka wcielonego do Kriegsmarine. Po zakończeniu I wojny światowej Polak ten kupił, czy dostał w 1919 r. gospodarstwo we wsi Marcinków k. Stronia Śląskiego."

Głowę daję że kufer ten należał właśnie do wujka mojej mamy choć nie mam na to dowodów!

Oczywiście, patrząc z perspektywy polskiej - dobra pozostawione na wschodzie też przepadły lub zmieniły gospodarza.

Rozumiem więc nostalgię i smutek kresowiaków i marzyłbym o tym, by podobna empatia towarzyszyła myśleniu o Śląsku - myśleniu pozbawionym nacjonalizmów.

Kończę ze względu na późną porę pozdrawiając serdecznie,

Tadeusz Markiton

PS. Czy można po 52 latach rozpoznać człowieka którego widziało się przez chwilę - pewnie nie!

Zwłaszcza że te zdjęcia pochodzą z - okresu I wojny (Kriegsmarine - mechanik) oraz lat 20/30 (ślub)



August Bednarski



August Bednarski z żoną
Hedwig z d. Finger

Autorem powyższej korespondencji, jest mieszkaniec Świętochłowic.

Jako, że pamięć wsteczną mam bardzo dobrą (gorzej ze zdarzeniami bieżącymi) jak żywe wróciły obrazy tych odległych lat, jednak niestety nie pamiętam nazwiska mojego rozmówcy sprzed zgoła 52 lat. Z całą pewnością był to jedyny "Niemiec", który pozostał we wsi.

Pamiętam, że bardzo się dziwiłem, że w ogóle udało mu się we wsi pozostać no, ale mój rozmówca wytłumaczył mi to tak, jak to opisałem w swoim wspomnieniu: żeby zostać we

wsi jeździł do Bystrzycy, a nawet Kłodzka dokumentując tam swoje polskie pochodzenie. Nie gwarantuję, że czekał na "naszych" czyli Ruskich, być może upiększyłem trochę to wspomnienie, pewne jednak jest, że bardzo się starał pozostać w swoim gospodarstwie, ale po 12 latach polskich rządów miał ich powyżej uszu i jak wspominałem - zamierzał w najbliższym czasie wyemigrować do Niemiec. Był to czas po dojściu w 1956 r. do władzy Gomułki, gdy szeroko otwarto granice dla ludzi, którzy poczuli się Niemcami. Wyjechało wtedy do Niemiec mnóstwo Ślązaków, Mazurów i innych.

Zaskoczyła mnie informacja, że mój rozmówca ostatecznie do Niemiec nie pojechał. Jednocześnie z dużą przykrością zobaczyłem na zdjęciu gospodarstwo w jego aktualnym stanie. Pamiętam i to, że pasterze mówili mi, że gospodarstwo "Niemca" rozpoznam z daleka bo w oczy rzuca się jego biel i faktycznie rozpoznałem je z daleka i dlatego kręcącego się na obejściu pana od razu powitałem po niemiecku itd, o czym piszę we wspomnieniu.

Jestem przekonany, że moim rozmówcą był wuj mojego interlokutora. A tak nawiasem ciekaw jestem do kogo obecnie należy to gospodarstwo?